

KAŻDA MATKA CHRONI DZIECKO.
A JEŚLI POPEŁNIŁO
ZBRODNIĘ?

*Najlepsza
jak dotąd
powieść Corry!*

B.A. PARIS



WSZYSTKIE NASZE KŁAMSTWA

JANE CORRY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE LIES WE TELL

Copyright © Jane Corry 2021
The author has asserted his moral rights
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2022

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: Andrey Myagkov/Shutterstock (*dom*);
Nicholas Kwok/Unplash.com (*postać*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Sarah

Freddie powinien już wrócić.

– Północ i ani sekundy później – powiedziałam.

Czy może raczej poprosiłam.

Na to przystaliśmy po krótkich negocjacjach, zanim nasz syn wyszedł z domu w celowo podartych dżinsach, znoszonych trampkach i cienkiej białej koszulce, na której czerwonym flamastrem nabazgrał: NIENAWIDZĘ ŚWIATA. Bez kurtki, chociaż był dopiero marzec.

Dlaczego, na Boga, nastolatki nie czują chłodu?

Wcześniej przysnęłam, choć powiedziałam sobie, że będę czuć, nasłuchując cichutkich kroków albo głośnego tupania po schodach, w zależności od tego, w jakim stanie wróci do domu nasz prawie szesnastoletni jedynak z burzą hormonów.

Ale neonowe cyfry zegara stojącego na szafce nocnej informują mnie, że jest 2:53. Ze strachu ściska mnie w dołku. Gdzie on się podziewa? I dlaczego nie wysłał esemesa? „Wszystko w porządku?”, piszę do niego. Oczywiście nie odpisuje.

Szukając w ciemności kapci, omijam pudła podpisane „Główna sypialnia” i podchodzę cicho do okna. Mimo wszystko będę tęskniła za tym starym domem. Stojące przy naszej spokojnej północnolondyńskiej ulicy latarnie zalewają pomarańczowym blaskiem wypełnione wodą koleiny, które rada miasta obiecała „wkrótce” naprawić. W radiu mówią, że to najbardziej deszczowa

wiosna od pięciu lat. Na zewnątrz nie ma żywej duszy. Nie przejeżdża nawet żaden samochód.

Wracam do łóżka i zastanawiam się, co robić. Freddie nigdy dotąd nie wracał tak późno. Nie chcę budzić Toma, ale jeśli coś się stało? Nachylam się nad mężem. Leży odwrócony do mnie plecami, jego ramię unosi się i opada we śnie, równie mocnym i spokojnym jak jego charakter. Ma na sobie piżamę, jak co noc, odkąd go poznałam. Ta jest w niebiesko-białe paski. Pościel pachnie jeszcze wieczornym seksem – albo raczej pospiesznym zbliżeniem, do którego dochodzi od wielkiego dzwonu, jakbyśmy chcieli sobie udowodnić, że między nami nadal wszystko jest dobrze.

Byłoby, gdyby nie Freddie.

Z poczuciem winy odsuwam od siebie tę myśl. Nie. Nie zbudzę go. Tylko byśmy się pokłócili. Poza tym rano przyjeżdżają ludzie z firmy przeprowadzkowej, żeby zabrać resztę rzeczy i nas. Zaczynamy od nowa. Nie chcę niczego zepsuć.

Przez chwilę próbuję czytać przy świetle latarki. W całym domu tylko nasz pokój nie jest jeszcze w pełni opróżniony. Siedziałam do późna, ale dopadło mnie zmęczenie, więc obiecałam sobie, że wstanę wcześniej i dokończę pakowanie. Poza tym dobrze jest zachować pozory normalności. Nienawidzę tego uczucia, gdy dom nie jest domem, bo albo wszystko zostało już spakowane, albo stoi w pudłach jeszcze nierozpakowane. W młodości wystarczająco często przenosiłam swoje rzeczy z miejsca na miejsce. Tym razem będzie warto, mówię sobie.

Musi być. Jeśli to nie pomoże, to już nie wiem co.

Na mojej szafce nocnej obok zegarka leży nierówny stos powieści, magazynów i albumów o sztuce. Wśród nich jest antologia poezji *Other Men's Flowers*, która zwykle mnie uspokaja. Po stronie Toma leży zeszyt z wyjątkowo trudnymi krzyżówkami. W środku jest dedykacja: „Dla Taty. Wesołych Świąt. Freddie”. Musiałam podrobić pismo syna, bo nawet tyle

mu się nie chciało. Nie mówiąc o tym, że sama kupiłam ten przeklęty prezent.

Staram się nie patrzeć na zegar, bo przecież Freddie wróci, a ja nie chcę się niepotrzebnie martwić. Mimo to nie mogę się powstrzymać.

3:07.

Ostatnie dwie cyfry znacznie pogarszają sytuację, bo oznaczają, że zaczęła się nowa godzina. Druk na stronie, którą próbuję czytać, rozmazuje mi się przed oczami.

Nagle ogarnia mnie złość, że mąż śpi sobie jak gdyby nigdy nic, podczas gdy ja panikuję. Ale czy nie było tak zawsze? W naszym związku to on jest tym rozsądnym i pragmatycznym. A ja? Przecież to mnie wyobraźnia podsuwa czarne scenariusze.

Nic dziwnego, zważywszy na moją przeszłość.

– Tom – mówię i szturcham go. – Freddiego jeszcze nie ma.

Budzi się natychmiast. Mój mąż należy do ludzi, którzy z chwilą, gdy zaczyna dzwonić budzik, są już na nogach. Jest przytomny i gotowy do działania, jakby ktoś wcisnął jakiś guzik w jego ciele. Ja potrzebuję więcej czasu, żeby rano dojść do siebie, najlepiej przy kubku gorącej herbaty. Bez cukru. Tylko z miodem. Przez ostatnie lata zaczęłam zwracać większą uwagę na to, co jem. Może to znak, że się starzeję.

– Która godzina? – pyta.

– Po trzeciej. – Głos mam piskliwy, rozhisteryzowany. – Obiecał, że wróci przed północą.

– Ha! Ten chłopak nigdy nie dotrzymuje obietnic.

– Ten chłopak – mówię z wyrzutem i przesuwam się na drugi koniec łóżka – to nasz syn. I ma imię.

W ciemności słysząc rozeźlone prychnięcie.

– Na które nie reaguje, prawda? Nie reaguje na nic. Sama wiesz, Sarah, że pozwalasz mu na wszystko. Jak ma się czegokolwiek nauczyć, skoro nie wyznaczasz mu żadnych granic?

Ja? Dlaczego wszystko zawsze jest moją winą? Poza tym Freddie mnie kocha. Wszystkie nastolatki testują rodziców, czyż nie? W ten sposób zyskują niezależność.

Opieram obie poduszki o wezgłowie łóżka i siadam wyprostowana. Na dobre odechciewa mi się spać.

– Wyznaczam – mówię. – Ale jeśli będziemy wobec niego zbyt surowi, poczuje się wyobcowany i może skończyć jak...

Urywam. W powietrzu między nami wyczuwa się napięcie. Oboje wiemy, co myśli to drugie.

– Jeśli będziemy wobec niego zbyt surowi – powtarzam – zacznie się buntować.

– A nie to właśnie robi? – W głosie Toma słysząc protekcjonalność i kpinę. – Uzgodniliście, o której ma wrócić. A on to olał. Jak zawsze.

– Wiem. Ale musisz pamiętać, że niełatwo być nastolatkiem.

– Tak, jednak ja nie zachowywałem się tak jak on... – Albo jak ty.

Tych ostatnich słów nie wypowiada na głos. Nie musi. Wystarczy, że daje mi to do zrozumienia – głośno i wyraźnie.

– Cóż, skoro już i tak nie śpimy – ciągnie – to mogę do niego zadzwonić.

Zadzwoń? Jeśli to zrobi, Freddie się zdenerwuje.

„Nie rób mi obciachu przy kumplach – warknął. – Po prostu wyślij esemesa, mamó”. Tyle że wysłałam już esemesa i nie doczekałam się odpowiedzi.

Oślaniam oczy, gdy Tom włącza lampkę nocną. Patrzę na niego, jak gdybym pierwszy raz widziała tego wyglądającego jak sowa mężczyznę o rudawozłotych włosach i bladej skórze, który szuka okularów w metalowych oprawkach i telefonu, leżących przy zeszycie z krzyżówkami. Nie pierwszy raz myślę, jak bardzo się postarzał przez ostatnie lata. Nic dziwnego. Późne rodzicielstwo sprawiło, że na szkolnych wywiadówkach jesteśmy starsi od większości par. Zwłaszcza Tom. Czy byłby bardziej

wyrozumiały wobec Freddiego, gdyby sam był młodszy?

Tom mruczy coś z irytacją.

– Włącza się poczta głosowa. Z kim on w ogóle jest?

Zerkam na telefon, bo może Freddie odpisał, odkąd sprawdzałam ostatni raz, ale nie, nie odpisał.

– Z przyjacielem.

– Z jakim przyjacielem?

– Nie wiem – przyznaję, nerwowo wykręcając sobie palce.

– Nie powiedział.

– Trzeba było to z niego wyciągnąć. Albo przynajmniej wziąć numer tego przyjaciela.

– Nie dałby mi. – Niemal to wykrzykuję.

To prawda. Freddie mówi niewiele o swoim życiu prywatnym. Od tamtej imprezy nie przyprowadza do domu żadnych znajomych. Nasze relacje nie są takie jak wtedy, gdy był mały, a ja stanowiłam centrum jego świata. Jest już prawie dorosły. Niedługo skończy szesnaście lat. To młody mężczyzna. Robienie obciachu nastoletniemu dziecku to jedna z najgorszych zbrodni, jaką może popełnić matka. Nie chciałabym go do siebie zrażać.

„A jeśli nie wrócisz do domu?”, spytałam, mając w pamięci ostatni raz, kiedy został na noc u jednego z tych swoich „kumpli” i o niczym mi nie powiedział. Następnego dnia rano obudziłam się przerażona i już miałam dzwonić na policję, kiedy pojawił się w drzwiach. Podobno „zasnęli”, słuchając muzyki.

„Wrócę – odburknął. – To moja ostatnia noc tutaj. Przez was wyjeżdżam, więc przynajmniej raz dajcie mi się zabawić. I przestań się martwić”.

Ale teraz mam powód, by się martwić. Czy jest z tym samym „kumplem” co wtedy? Czy może leży gdzieś w rowie?

– Idę spać – oświadcza Tom. – Za trzy godziny i pięćdziesiąt minut muszę wstać do pracy.

Tak. Chociaż się przeprowadzamy, Tom idzie do pracy jak zwykle. Chwilę później już śpi jak zabity. Tak po prostu.

Oparta o poduszki, przymykam oczy i zastanawiam się, ile czasu powinnam dać Freddiemu, zanim zadzwonię na policję. Tylko co oni zrobią? W naszej zielonej dzielnicy północnego Londynu są pewnie setki dzieciaków, które nie przyszły do domu o umówionej godzinie. Większość z nich wróci bezpiecznie. A co, jeśli nasz syn nie będzie miał tyle szczęścia? Jeśli rano usłyszę w radiu, że kolejny nastolatek został zadźgany na ulicy? Właśnie to spotkało chłopaka, o którym w zeszłym tygodniu rozpisywały się lokalne gazety. Był w nim jakiś smutek, jak gdyby wiedział, że umrze, i patrząc na niego, przypomniałam sobie wiersz Yeatsa o irlandzkim lotniku, który przewidział swoją śmierć. Spoglądając na ziarnistą fotografię, zwróciłam uwagę na jego dziwnie grube brwi. Były to brwi dorosłego mężczyzny, którym chłopak nigdy nie będzie.

Na dole rozlega się szczekanie. To Jasper, nasz czekoladowy labrador. Wyskakuję z łóżka, łapię szlafrok i pędzę na dół. Ktoś dobija się do drzwi. Policja? Zdarzył się wypadek. Freddiego potrafił samochód. Zażywał narkotyki.

Drżącą ręką otwieram drzwi. To on! Mimo tego, jak wygląda, czuję nieopisaną ulgę. Nasz syn jest przemoczony do suchej nitki. Głowę ma spuszczoną, mokre od deszczu czarne kędziory po lewej stronie lepią mu się do twarzy. Drugą połowę głowy ma ogoloną na krótko – zrobił to sobie sam, tydzień temu. Ma na sobie dżinsową kurtkę, którą pierwszy raz widzę na oczy.

– Przepraszam – rzuca, przeciskając się obok mnie. – Zgubiłem klucz.

Znowu? To już trzeci raz w tym roku. Muszę powiedzieć nowym właścicielom, chociaż pewnie i tak zechcą wymienić zamki. Co na to Tom? Postanawiam, że na razie mu nie powiem. Najważniejsze, że nasz syn wrócił do domu cały i zdrowy.

Ułga zmienia się w złość.

– Obiecałeś, że wrócisz tak, jak się umawialiśmy... – zaczynam.

- Chyba przeprosiłem, nie?
- Cuchniesz piwem. Ile wypiełeś?
- Niedużo.
- Cztery kufle?
- Proszę, mamó. Opuść sobie.
- Żadnego mocnego alkoholu?
- Powiedziałem, opuść sobie, dobra?

Coś jest nie tak. Zamiast patrzeć na mnie z arogancją zbuntowanego młodego człowieka, Freddie wydaje się bezbronny. Przybity. Jego ciemnobrązowe oczy – takie same jak moje – są zaczerwienione. Mój syn płakał. A przecież nie płakał od lat. Nawet po tamtej imprezie.

– Co się stało? – pytam, ale on już wbiega po schodach na górę.

Idę za nim, jednak drzwi do jego pokoju są zamknięte od wewnątrz na zasuwkę, którą zamontował w ubiegłym roku.

- Kochanie, wpuść mnie – proszę.
- Idź, mamó. Nic mi nie jest.
- Skąd masz tę kurtkę? – pytam.
- Ktoś mi ją pożyczył. Nie rąbnąłem jej, jeśli o to ci chodzi.

Rok temu Freddie wrócił do domu w dżinsach z przyczepionym do nich plastikowym klipsem zabezpieczającym i metką z ceną. Twierdził, że obsługa musiała zapomnieć je usunąć. „W takim razie dlaczego nie włączył się alarm?”, spytałam wtedy.

To doprowadziło do koszarnej awantury, podczas której Freddie zarzucił mi, że mu nie wierzę. Koniec końców wróciliśmy razem do sklepu, gdzie okazało się, że naprawdę kupił spodnie, a obsługa zapomniała usunąć klipsa. Najwyraźniej tamtego dnia system alarmowy nie działał.

Teraz czekam chwilę, błagając go, żeby ze mną porozmawiał, ale milczy.

W końcu idę na dół, żeby zgasić światła, i wreszcie wślizguję się z powrotem do łóżka.

– Freddie wrócił? – mruczy Tom.

– Tak.

Odwraca się do mnie plecami.

– Czyli wszystko w porządku.

Ale nie jest w porządku. Matczyny instynkt podpowiada mi, że coś jest nie tak. Tylko nie wiem co.

– Porozmawiam z nim rano – dodaje mój mąż i chwilę później znowu chrapie.

Czekam, by mieć pewność, że zasnął, po czym wstaję z łóżka i idę na palcach do pokoju Freddiego. Drzwi są otwarte. Ale mojego syna nie ma w środku. Ze strachu ściska mnie w żołądku. Dopiero po chwili zauważam światło sączące się spod drzwi łazienki. Mój syn siedzi na skraju wanny, wciąż w tej samej przemoczonej kurtce. Jest rozpięta i widzę teraz, że koszulka Freddiego zamiast biała, jest czerwona. Przez jedną upiorną sekundę myślę, że to krew, ale to tylko czerwony tusz z flamastra, którym napisał słowa NIENAWIDZĘ ŚWIATA, rozmył się na deszczu.

Freddie drży konwulsyjnie i po twarzy ściekają mu łzy. Oddycha głośno, chrapliwie. Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

– Freddie – szepczę. Podchodzę bliżej i przytulam go do siebie. Czekam, aż mnie odepchnie, ale tego nie robi. – Co się stało?

Nie odpowiada. Tylko wciąż szlocha. Ujmuję w dłonie jego twarz, chcę spojrzeć mu w oczy.

– Co się stało? – powtarzam.

Znów spodziewam się, że odsunie mnie od siebie i powie mi tym swoim pogardliwym głosem, że to nie moja sprawa. Tymczasem on się krzywi.

– Mamo – wykrztusza. – Zabiłem kogoś.

– Jak to? – szepczę.

Lodowaty chłód pełźnie mi po plecach. Przed oczami miga

mi twarz młodej kobiety.

Nie! Pomóż mi!

Freddie patrzy na mnie przerażonym wzrokiem, jak wtedy, gdy pierwszy raz za karę został po lekcjach i musieliśmy po niego przyjechać. Ale teraz jest gorzej. To niemożliwe.

– Zabiłem kogoś – mówi znowu.

Nie! Emily!

Jestem tak zszokowana, że nie mogę wydusić słowa. Myślimy gęsta mgła kłębią mi się w głowie.

Nie mogł tego zrobić. Nie mój słodki, łagodny chłopiec, którego tak bardzo pragnęłam. Tak, wiem, że przechodzi trudny okres. Buntuje się jak większość nastolatków. Ale nie mógł nikogo zabić. Nie mogł pozbawić życia człowieka. Mój Freddie taki nie jest.

I wtedy podnosi wzrok. Patrzy gdzieś ponad moim ramieniem. Coś zobaczył. Odwracam się. W progu stoi Tom.

– Zabiłeś kogoś? – powtarza mój mąż. W jego oczach błyska wściekłość. Przerażenie. Odraza. Chwilę później odpycha mnie na bok, chwytając Freddiego za kołnierz mokrej kurtki i szarpie, próbując postawić go na nogi. – Co to ma, kurwa, znaczyć?!

– Nie rób mu krzywdy! – krzyczę.

– W takim razie niech lepiej mi powie, o co, do cholery, chodzi – warczy Tom.

– Nie mogę – odpowiada, szlochając, Freddie.

– Właśnie że możesz! – ryczy Tom i go popycha.

Mój mąż zawsze był surowszym rodzicem, ale jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Pięści ma zaciśnięte. Szyję naprężoną. Odruchowo staję między nimi.

Freddie krzywi się, ale nie wiem, czy ze złości, czy z bólu.

– Mówiłem już, że nie mogę powiedzieć, tak?! – wrzeszczy.

– Ale musisz – odpowiadam płaczliwie. – To nie ma sensu.

– On kłamie. Nie widzisz, Sarah?

– Tak, Freddie? – pytam błagalnie. – Po prostu powiedz nam

prawdę. Pomożemy ci.

Freddie posyła mi spojrzenie. Na jego twarzy maluje się ból. I nienawiść.

– My? – parska. – Nie sądzę, żeby tata mi pomógł.

Twarz Toma jest jak wykuta z kamienia.

– Nie pomogę nikomu, kto złamał prawo.

– Nawet własnemu synowi? – pyta Freddie.

Patrzę na dwóch mężczyzn mojego życia, zatrzymując wzrok to na jednym, to na drugim. Wszystko to wydaje się nierealne. Zupełnie jakbym oglądała film.

– Nawet własnemu synowi – powtarza mój mąż. – Jeśli nie powiesz mi, co zrobiłeś, dzwonię na policję. – Rusza w stronę drzwi.

– Gdzie idziesz? – pytam, chociaż znam już odpowiedź.

– A jak myślisz? Zadzwoń na policję.

Freddie zaczyna wyc jak zwierzę. Na dole Jasper robi to samo, jak gdyby łączył się z nim w bólu.

Na policję? Serce, które już wcześniej tłukło mi się o żebra, wali teraz jak szalone, jak gdybym miała w piersi klatkę pełną motyli o żelaznych skrzydłach, chcących wydostać się na zewnątrz.

Pomóż mi!

– Nie! – krzyczę i chwytam Toma za rękaw piżamy. – Poczekaj.

Mąż patrzy na mnie. Zupełnie jakby zastanawiał się, kim właściwie jestem, tak jak ja zastanawiałam się wcześniej, kim jest on.

– Posłuchaj, Sarah... – mówi powoli. Przemawia do mnie jak do dziecka, któremu trzeba wyjaśnić coś prostego. – Nie rozumiesz? To jedyne wyjście.

Wcale nie.

Nie pozwolę na to.

To nie może się powtórzyć.

To nie może spotkać mojego synka. Mojego jedyne
dziecka. Zrobię wszystko, żeby go ocalić. Naprawdę wszystko.

Sarah

Sąd Koronny w Truro

– Proszę wstać – mówi urzędnik sądowy.

Wstajemy niepewnie. Nie wiedząc, co się wydarzy. Onieśmieleni tym wielkim pomieszczeniem i jego atmosferą – monitory na ścianach, rzędy szerokich biurków z piętrzącymi się na nich stosami papierów, posępni mężczyźni i kobiety, wszyscy w perukach, i przysięgli; jedni wyglądają na zakłopotanych, a drudzy na zadufanych w sobie. To oni zdecydują o przyszłości nie tylko oskarżonego, ale też jego bliskich.

Na przykład mojej. Jego matki. Matki, która kocha syna. Kobiety bez męża.

Nie tak wyobrażałam sobie salę rozpraw. Jest zbyt nowoczesna. Te, które widziałam w telewizji, były stare, ze ścianami wyłożonymi boazerią, surowym sędzią i kulącym się na ławie oskarżonych pozwanym.

Ta tutaj wygląda jak sala posiedzeń. Sędzią jest kobieta w średnim wieku. Ma usta pomalowane różową szminką i fioletową togę z czerwoną szarfą, co wcale nie łagodzi jej wizerunku surowej damy w siwej peruce.

Mnie jednak interesuje wyłącznie młody mężczyzna o przerażonym spojrzeniu, zamknięty w klatce z kuloodpornego szkła, który wodzi dookoła otępiąłym wzrokiem.

Jako matka pragnęłabym go pocieszyć. Otoczyć ramionami tę lekko pomiętą marynarkę. Powiedzieć mu, że oczywiście wierzę w każde jego słowo. Ale jakaś część mnie wzdyga się z odrazą.

Kiedy prokurator w mowie wstępnej nakreśla sprawę, powieki opadają mi pod ciężarem tego wszystkiego. Wracam myślami do przeszłości.

Nie do tamtej nocy, kiedy Freddie wrócił późno do domu, cały przemoczony, w kurtce, która nie należała do niego. Jeszcze dalej. Do dnia, kiedy poznałam jego ojca. I kiedy to wszystko się zaczęło.

Przynajmniej ja tak to widzę. Tom może widzieć to inaczej. Wy zresztą też.

CZĘŚĆ PIERWSZA
Tom i Sarah

1

Tom

Wegetariańskie risotto. Tak wyglądał pierwszy posiłek, który ugotowała dla mnie Sarah. Nienawidzę ryżu, bo w szkole praktycznie karmili nas nim na siłę. Zwłaszcza w wakacje, kiedy zostawałem w internacie, bo ojciec pracował za granicą. W tamtym czasie mi to nie przeszkadzało. To znaczy jego praca za granicą. Nie cała reszta.

– Wiesz, że ryż stanowi podstawowe pożywienie ponad połowy populacji świata? – spytałem Sarah pierwszego wieczoru.

Mówiąc to, miałem świadomość, że zdjąłem okulary, przetarłem je starannie, po czym włożyłem z powrotem na nos. Robiłem tak, kiedy się denerwowałem.

Sarah spojrzała na swój talerz, jak gdybym właśnie skrytykował jej kuchnię. Zaraz potem popatrzyła na mnie z miną tak dziecinną, że zacząłem się zastanawiać, ile właściwie ma lat. Doświadczenia z przeszłości nauczyły mnie, że trudno odgadnąć wiek kobiety, a błędna ocena może ją mocno urazić. Należało więc uważać.

– Tak? Mam nadzieję, że ci smakuje – odparła, a jej niezwykle grube różowo-niebieskie warkocze zakołysały się.

Miała na sobie szeroką niebiesko-białą spódnicę w groszki, która tworzyła ciekawą kombinację z ciężkimi brązowymi martensami, bo chyba tak nazywały się te buciory. No ale cóż, tak

wyglądała moda w latach dziewięćdziesiątych. Martensy leżały obok niej na podłodze, tam, gdzie je zrzuciła.

Korciło mnie, żeby postawić je jak należy.

Zamiast tego zmusiłem się do przełknięcia zlepionych grudek ryżu.

– Pyszne – powiedziałem, choć nienawidzę kłamać.

W szkole, jeśli zostałeś przyłapany na kłamstwie, dostawałeś na apelu lanie od dyrektora. „Wilkins! Chodź no tu. Ale już”. W końcu to była szkoła katolicka – kłamstwa oznaczały piekło i wieczne potępienie.

A może moja niechęć do kłamstw wzięła się z niezdarnych półprawd ojca na temat tego, od jak dawna spotykał się z moją macochą po tym – albo przed tym – jak umarła moja mama, gdy miałem osiem lat.

Siedzieliśmy po turecku naprzeciwko siebie, na poduchach, przy grzejniku elektrycznym w kawalerce Sarah. Nigdy dotąd nie siedziałem na czymś takim i muszę przyznać, że trudno mi było zachować równowagę.

Koordinacja nigdy nie była moją mocną stroną. Podobnie jak sport, co uświadomił mi mój dość porywczy trener. Przez niedowidzące lewe oko – które niektórzy nazywają leniwym – nie widziałem dobrze piłki. Nienawidziłem każdej sekundy lekcji WF-u. Tak naprawdę jedyną dobrą rzeczą, jaka spotkała mnie w tej szkole, była przyjaźń z Hugo. Tylko on mnie rozumiał.

– Skąd jesteś? – spytałem, wmuszając w siebie kolejną porcję risotto.

Sarah uraczyła mnie jeszcze jednym uroczym uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz i z jakiegoś powodu sprawił, że nie byłem w stanie odwrócić wzroku. Zwykle nie miałem takich myśli, ale trudno było ująć to inaczej. Zauważyłem, że ma dość grube brwi, które u innej kobiety wyglądałyby nieładnie. Jednak brwi Sarah komponowały się z jej pięknymi brązowymi oczami w niemal matematycznej perfekcji.

– Prawdę mówiąc, pochodzę z całkiem zwyczajnej rodziny – powiedziała, przechylając głowę na bok. Moją uwagę zwróciła jej szyja: niezwykle długa i chuda. – Było nas pięcioro – ciągnęła. – Mam dwie siostry i dwóch braci, choć wszyscy się rozjechaliśmy. Dorastaliśmy na osiedlu domów komunalnych w Kent i chodziliśmy do państwowej szkoły średniej. Ale byliśmy wtedy szczęśliwi i kochani. A przecież to wszystko, czego potrzeba człowiekowi.

Mimo osiedla domów komunalnych i państwowej szkoły średniej, z którymi nigdy nie miałem do czynienia, zazdrościłem jej. Mojej uwagi nie uszło jednak, że użyła słowa „wtedy”.

Później, kiedy w końcu opowiedziałem jej o tym, co wydarzyło się w mojej szkole, była zszokowana.

– Gdybym miała dzieci – ściągnęła grube brwi – nigdy nie oddałabym ich do szkoły z internatem. I zabiłabym każdego, kto tylko spróbowałby je tknąć.

Patrząc na jej szczupłą figurę, można by pomyśleć, że Sarah muchy by nie skrzywdziła. Ale już wtedy zacząłem podejrzewać, że ma w sobie jakąś twardość. Była inna niż wszystkie kobiety, jakie dotąd spotkałem.

Na przykład miała mały srebrny kolczyk w prawym nozdrzu. I trzymała sztucze między kciukiem a palcem wskazującym, zamiast trzymać palce wskazujące na nożu i widelcu, tak jak mnie uczono. Byłem nią jednak oczarowany. Nie znałem nikogo, kto patrzył na świat tak jak ona. Zwracała uwagę na śpiew kosa albo na niebo, które dla mnie było szare, a dla niej stanowiło połączenie zieleni, fioletu i różu. No i dochodził jeszcze aspekt cielesny. (Mówiąc to, czuję się niemal zawstydzony). Moim zdaniem seks, podobnie jak pieniądze, to temat, którego nie należy poruszać w towarzystwie. Ale nie mogłem przestać się gapić na tę idealnie gładką skórę i cudowne kości policzkowe, tak bardzo podobne do tych, które miała moja matka. Pamiętam, jak powiedziałem jej: „Twoja skóra wygląda jak aksamit”. Część

mnie – ta, o której istnieniu nie miałem nawet pojęcia – chciała dotknąć twarzy Sarah, żeby przekonać się, czy w dotyku jest równie przyjemna jak aksamit.

Mój ojciec zmarł miesiąc przed tym, jak poznałem Sarah. Wiedziałem jednak, co by powiedział, gdyby miał okazję ją poznać. „Nie jest jedną z nas, co?”

Poniekąd zakochałem się w niej właśnie dlatego, że wywodziła się z innego środowiska. Bo cóż takiego dało mi moje tradycyjne wychowanie? Nic oprócz bólu.

A przecież chciałem tylko być kochany i mieć prawdziwą rodzinę. Żonę i dzieci. Próbowalem z kobietą ze swojego środowiska, Arabellą. Nie udało się. Może więc miałem szansę być z kobietą inną niż wszystkie, jakie spotkałem do tej pory.

Sarah i ja poznaliśmy się w chłodny wiosenny wieczór na zajęciach z rysunku dla „początkujących i średnio zaawansowanych”. Ja należałem do tych pierwszych. Kiedy się na nie zapisałem, Hugo uznał to za świetny żart.

– Rysowanie? Ty? – Zarechotał. – Nie ma w tobie nawet krzty artysty, Wilkins.

Od czasu do czasu zwracał się do mnie po nazwisku, jak wtedy, gdy chodziliśmy do szkoły. Ja tego nie robiłem. Nie chciałem pamiętać tamtych czasów.

– Lepiej trzymaj się swoich cyferek – dodał.

Miał rację. Cyferki – jak je nazywał – były nie tylko bezpieczne, ale też przynosiły mi pieniądze. Nie załatwiły mi jednak żony. Miałem trzydzieści pięć lat. Hugo, bankowiec, i jego żona Olivia mieli dwójkę dzieci, dla których byłem ojcem chrzestnym. I chociaż niespecjalnie paliłem się do tego, żeby samemu zostać ojcem, zaczynałem mieć dość komentarzy w stylu: „Jeszcze się nie ustatkowałeś?” albo: „Jak tak dalej pójdzie, zostaniesz starym stetryczalym kawalerem”. Gdybym teraz był młody, nie przejmowałbym się, że jestem kawalerem. Ale w latach dziewięćdziesiątych ludzie zakładali rodziny w młodym

wieku.

Jak już wspomniałem, sądziłem, że Arabella będzie tą jedyną. Pracowała w prestiżowym domu aukcyjnym jako asystentka dyrektora i chodziła za mną, roztaczając wokół woń Chanel i wielokrotnie dając mi do zrozumienia, że bez wahania odpowiedziałaby „tak”.

Oczywiście schlebiali mi to. Do tej pory nikt nigdy się mną nie interesował. W głowie wciąż słyszałem szyderstwa chłopaków ze szkoły: „Nie umiesz patrzeć prosto, Wilkins?”. Na lekcjach tańca w szóstej klasie odmawiała mi każda dziewczyna, do której odważyłem się podejść.

Kiedy więc poznałem Arabellę – przez jej brata, który studiował razem ze mną – a ona zgodziła się ze mną umówić, nie posiadałem się ze szczęścia. Spotykaliśmy się przez prawie cztery lata.

Ja jednak wciąż miałem obawy. Skąd wiadomo, że to ta właściwa osoba, zwłaszcza jeśli ktoś, tak jak ja, nie miał doświadczenia z płcią przeciwną? Kiedy w końcu uznałem, że mogę się jej oświadczyć, rzuciła mnie. Zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce.

„Przykro mi, Tom. Chyba nie pasujemy do siebie”.

Boleśnie urażony i napędzany czymś, co – jak sądziłem – było żarliwym uczuciem, natychmiast poszedłem do jej mieszkania w londyńskiej dzielnicy Pimlico.

– Co to znaczy, że nie pasujemy do siebie? – spytałem.

Miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na zawstydzoną.

– Nie zrozum mnie źle, Tom, ale jesteś zbyt przewidywalny. Masz przyzwyczajenia, których nikt ani nic nie jest w stanie zmienić. Zupełnie jakbyś nadal był w szkole. Jesteś zbyt stateczny, żeby ryzykować. Ja potrzebuję czegoś więcej.

Okazało się, że podczas dziewczynskiego wypadu do Kornwalii Arabella poznała surfera. Bogatego surfera, który był

również właścicielem nadmorskiego hotelu. To dla niego mnie zostawiła. Kilka miesięcy później w „The Times” pojawiło się ogłoszenie o ich ślubie.

Nagle Arabella wydała mi się idealną kobietą, której pozwoliłem odejść, jak skończony głupiec. Mój obojętny stosunek do małżeństwa uległ zmianie. Nigdy nie miałem rodziny, o której mógłbym rozmawiać. A jeśli dalej tak będzie? Jeśli skończę sam jak palec – zręczliwy facet, którego interesują wyłącznie liczby i rutyna? Jeśli w zamieszczonym po mojej śmierci nekrologu w „Daily Telegraph” napiszą: „Umarł samotny”, by czytelnicy sami mogli wyciągnąć wnioski?

Nadal cierpiąc po rozstaniu z Arabellą, pewnego dnia po pracy poszedłem na spacer i zobaczyłem plakat reklamujący zajęcia z rysunku w miejscowym centrum sztuki w Hackney, gdzie kupiłem trzypokojowy segment, jeszcze zanim okolicę poddano gentryfikacji. Zajęcia rozpoczynały się wieczorem tego samego dnia. Nigdy dotąd nie zrobiłem czegoś takiego. Byłem „zbyt stateczny, żeby ryzykować”.

Chciałem udowodnić Arabelli i Hugo, że się mylili.

– Trzecia sala po lewej – poinformowała mnie dziewczyna za biurkiem. – Zajęcia już się zaczynają, więc zapłaci pan później.

Usiadłem przy stole wyłożonym gazetami. Od razu zauważyłem Sarah. Trudno było jej nie zauważyć. Nie tylko dlatego, że prowadziła warsztaty, ale też dlatego, że miała usta pomalowane soczyście czerwoną szminką, zwiewną spódnicę w groszki oraz różowe i niebieskie pasemka w zaplecionych w warkocze ciemnych włosach, przez co wyglądała, jakby szła na bal przebierańców. Jednak tym, co najbardziej rzucało się w oczy, był jej uśmiech, szeroki i promienny. Ktoś inny z takim uśmiechem przypominałby klauna, ale jej dodawał uroku.

Może pomyślałem tak, bo znam niewiele osób, które często się uśmiechają. W pracy widuję tylko zadowolone uśmieszki kolegów, kiedy zgadzają im się cyferki. Możliwe, że tak samo jest

ze mną. Ale uśmiech Sarah rozświetlił mnie od środka. Sprawił, że zrobiło mi się ciepło. Poczułem jednocześnie spokój, radość i nadzieję. Ostatni raz czułem się tak, kiedy żyła jeszcze mama. Ona też się tak uśmiechała.

Zaraz potem moją uwagę przyciągnęła staruszka, która wyszła zza parawanu okryta jedynie prześcieradłem. Czyżby tematem zajęć był starożytny Rzym? Ku mojemu zdumieniu i przerażeniu prześcieradło opadło na podłogę, odsłaniając fałdy tłuszczu i pomarszczone, obwisłe piersi. Musiałem odwrócić wzrok.

Wszyscy natychmiast chwycili za kawałki węgla, które wręczono nam razem z kartkami formatu A4, ale ja nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Od lewej piersi? Nogi? Byłem kompletnie zagubiony. Wziąłem więc z przybornika, który przechodził z rąk do rąk, linijkę i zacząłem mierzyć.

Czy tej biedaczce nie jest zimno? A jeśli jest głodna albo musi iść do toalety? O czym, na Boga, myśli, kiedy tak siedzi na krześle, wpatrzona przed siebie?

– Zauważyłam, że byłeś nieco zaskoczony naszą modelką – usłyszałem dwadzieścia minut później głos Sarah za plecami, kiedy w końcu podeszła do mnie.

– Sądziłem, że będziemy rysować martwą naturę – odparłem, starając się, by zabrzmiało to swobodnie. – No wiesz... kwiaty i owoce. Tego typu rzeczy.

Roześmiała się, ale nie był to złośliwy, pogardliwy śmiech. Brzmiał raczej jak brzęk dzwoneczków.

– Zdziwiłbyś się, ile osób spodziewa się po tych zajęciach czegoś innego. – Słyszac to, od razu poczułem się lepiej. Chwilę później dodała nieco poważniejszym tonem: – Ale przecież ludzkie ciało to prawdziwe dzieło sztuki, prawda?

– I zagadka numeryczna – rzuciłem.

Oboje spojrzeliśmy na kanciaste kształty, które narysowałem tak starannie, by odzwierciedlały poszczególne partie ciała staruszki.

– Leonardo da Vinci i Picasso też tak myśleli – powiedziała, jak gdybym był praktykantem, który popełnił drobny błąd i potrzebuje zachęty. – Jednak moim zdaniem piękno nagości polega na tym, że wydaje się, jakby model nie miał nic do ukrycia. Jest całkowicie obnażony. Przynajmniej z zewnątrz. To zmusza artystę, żeby zajrzał w głąb i odszukał duszę. Właśnie takie portrety są najlepsze.

Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

– Ale jak mam to zrobić? – spytałem.

– Zaufaj intuicji.

Intuicji?

– Nie wiem jak – wymamrotałem.

Teraz byłem już pewien, że przychodząc tu, popełniłem błąd.

– Może ci pomogę?

Ujęła moją rękę i poprowadziła kawałek węgla, który ścisnąłem w palcach. W tej samej chwili poczułem, jakby przeszedł mnie prąd. Jakby jej dotyk naprawdę mnie poraził. Nie potrafiłem tego pojąć. Ta kobieta nie była w moim typie. A jednak...

– Widzisz? – powiedziała. – Wystarczyło zaokrąglić tutaj, a potem zrobić to...

– W twoich ustach brzmi to tak prosto. – Starałem się nie patrzeć na tę piękną łabędzią szyję, oszpeconą dość tandetnym wisiorkiem, którego cały czas dotykała.

Cofnęła się i przyjrzała mi się z uwagą. Poczułem się trochę niezręcznie.

– Każdy ma jakieś mocne strony. Czym się zajmujesz?

– Jestem aktuariuszem.

Przechyliła głowę i spojrzała na mnie pytająco. Zauważyłem, że ma wysokie gładkie czoło, które przydawało jej królewskiego wyglądu.

– To znaczy?

Tak często słyszałem to pytanie, że miałem gotową odpowiedź.

– Jestem matematykiem, który oblicza, w jakim stopniu przyszłe wydarzenia wpłyną na firmę i jej klientów.

– Jak to? – Wybuchła śmiechem.

Poczułem się urażony jej rozbawieniem.

– To bardzo przydatne. Na przykład mogę wyliczyć klientom, jak długo jeszcze pożyją, i na tej podstawie określić odpowiednią dla nich kwotę ubezpieczenia na życie.

– Nigdy nie spotkałam nikogo takiego. A ty, jak długo jeszcze pożyjesz?

Nikt nigdy mnie o to nie pytał.

– Nie wiem.

– Ja wcale nie chciałabym wiedzieć – rzuciła lekko. – Wierzę w życie chwilą. To dużo ważniejsze niż pieniądze.

Nagle uświadomiła sobie, że wciąż trzyma moją dłoń, i cofnęła rękę. Poczułem chłód. Pustkę. Nie zdążyłem nawet odpowiedzieć, że ubezpieczenie to jedna z podstawowych rzeczy, do których ludzie nie przywiązują wagi, bo Sarah już podeszła do kolejnego kursanta i pochylona nad nim, udzielała mu porad. A ja poczułem niedorzeczne ukłucie zazdrości.

– Czas na przerwę – oznajmiła wkrótce potem. – Maude, poczęstuj się herbatą. Będziesz gotowa za jakieś dziesięć minut?

Zdumiała mnie troska Sarah. Staruszka wstała, okryła się leżącym obok krzesła prześcieradłem i ruszyła kaczym chodem w stronę czajnika. Nie sposób było nie patrzeć na nią z chorą fascynacją. Ile jej płacili? Z pewnością istniały łatwiejsze sposoby zarabiania pieniędzy.

Przez kolejną godzinę zerkałem ukradkiem na Sarah. Obserwowałem ją. Patrzyłem, jak pomaga innym. Podziwiałem, jaka jest życzliwa. Jak zachęca każdego ciepłym słowem – „Podoba mi się, jak uchwyciłeś cień” – i dla każdego ma jakąś radę – „Na twoim miejscu dodałabym tutaj odrobinę więcej cieniowania”. Miała w sobie łagodność, ale i siłę. Coś, co zdawało się mówić: „Potrafię się obronić”.

Najbardziej jednak urzekający był jej wygląd: te dziecinne warkocze, szczupłe nagie ramiona, piękne brązowe oczy. Może zabrzmi to banalnie, ale Sarah była jak narkotyk (choćaż nigdy żadnego nie brałem), który z każdą minutą, odmierzaną skrupulatnie przez wiszący na ścianie zegar, uzależniał mnie coraz bardziej.

Na koniec zajęć, kiedy mój szkic był już kompletnie spafrany, podszedłem do niej.

– Przepraszam – powiedziałem. – Rysowanie ludzkiego ciała to chyba nie dla mnie.

Posłała mi najśłodsze, pełne zrozumienia spojrzenie, które znów przypomniało mi matkę.

– Na pewno nie chcesz spróbować jeszcze raz?

– Nie bardzo.

Miałem ochotę dodać, że obwisłe piersi modelki wzbudziły we mnie odrazę i nie podoba mi się, że palce mam brudne od węgla.

– Cóż, będzie nam smutno – odparła.

I wtedy, zanim zdążyłem się powstrzymać, z moich ust padły te słowa.

– Właściwie... – zacząłem. – Zastanawiałem się, czy nie poszłabyś ze mną na kolację.

Czekałem, aż powie mi, żebym spadał. Żadna dziewczyna nie umówiłaby się z gościem, którego dopiero co poznała i z którym zamieniła ledwie kilka słów. W każdym razie żadna porządna dziewczyna.

A może dlatego to zrobiłem? Może zaprosiłem Sarah na kolację, bo tak bardzo się od siebie różniliśmy? Żeby udowodnić sobie, że wcale nie jestem nudnym ramolem, którego widziała we mnie Arabella?

– Zgoda – odparła po prostu.

Czy ja dobrze usłyszałem?

– Ale wolałabym, żebyśmy zamiast do restauracji poszli do

mnie – dodała. – Zostało mi trochę jedzenia i byłoby szkoda, gdyby się zmarnowało. Nienawidzę marnotrawstwa, a ty? Zwłaszcza że na świecie jest tyle głodujących ludzi.

Niemal palnąłem, że chodziło mi nie o dzisiejszy wieczór, tylko o jakiś inny dzień. Może w przyszłym tygodniu. Albo – na upartego – w tym. Albo nigdy, bo jeśli mam być szczery, szedłem o zakład, że odmówi. Ta jednak niezwykła dziewczyna powiedziała „tak”. I co więcej, chciała zjeść ze mną kolację już dziś, teraz.

– Do ciebie? – powtórzyłem z udawaną pewnością siebie. – Jasne.

– Super! – Uśmiechnęła się promiennie, tak że poczułem się dziwnie lekki. – Mieszkam niedaleko stąd. Czterdzieści minut piechotą. A przy okazji, lubisz wegetariańskie risotto, prawda?

Z trudem przełknąłem ślinę. Jak miałem jej powiedzieć, że na samą myśl o ryżu robi mi się niedobrze? Nie tylko dlatego, że przypominał mi o szkole, ale też z powodu tego, co wydarzyło się później.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).